

<http://dx.doi.org/10.16926/fil.2017.14.01>

***O patrzeniu z drugiej strony bytu oraz prymacie ducha,
a więc o filozofii i byciu filozofem z profesorem
Andrzejem Zalewskim, filozofem, filologiem polskim,
filmoznawcą – rozmawia mgr Michał Płóciennik***

MICHAŁ PŁÓCIENNIK: *Panie Profesorze, odkrywa Pan od niedawna uroki i mankamenty akademickiej emerytury. Wydaje się, że to dobry moment na próby jakichś retrospekcji, podsumowań, syntez własnej myśli, swoich intelektualnych zmagani, zarówno w wymiarze osobistym, jak i akademickim. A także dobry moment na próby diagnozy i prognoz stanu, kondycji dziedziny, której się poświęciło życie, w jej dzisiejszym i jutrzejszym usytuowaniu w otaczającej nas rzeczywistości. To pewnie jedno z najtrudniejszych wyzwań, kiedy trzeba samemu zmierzyć się z własnymi dokonaniem, z własnym dorobkiem i jakoś się do tego ustosunkować, odnieść, a także umiejscowić go w szerszym kontekście, więc bardzo dziękuję, że zgodził się Pan na tą rozmowę.*

Zacznijmy zatem może nieco trywialnie, ale zarazem w myśl bliskiej Panu fenomenologii – cofając się do źródeł. Jak rozpoczęła się Pańska przygoda z filozofią, z którą jest Pan w znacznej mierze kojarzony, mimo, iż nie jest to Pańskie pierwotne wykształcenie?

ANDRZEJ ZALEWSKI: Rozpoczęła się dość przypadkowo. Po prostu poszukiwałem sposobu na przedłużenie sobie słodkich lat studiowania, na odroczenie w czasie służby wojskowej. Trafiło akurat na filozofię, która podówczas, w latach 70., miała w Uniwersytecie Łódzkim status studiów podyplomowych. Oczywiście, z pierwszych, filologicznych, studiów wyniosłem jakąś ogólną potrzebę filozofowania, zajmowania się filozofią, ale to wszystko. Nie myślałem wtedy, że od tego rozpocznie się moja pasja filozoficzna.

M.P.: *Jacy myśliciele odegrali w Pana Profesora myśleniu największe znaczenie? Czy ma Pan jakiegoś swojego ulubionego filozofa?*

A.Z.: Nie jest tajemnicą, że myśliciele o szczególnie doniosłym dla mnie znaczeniu, to fenomenologowie. W latach 70., jeszcze w okresie studiów, zaczytywałem się Ingarde-nem, jego *Sporem o istnienie świata czy O dziele literackim*. To wtedy połknąłem bakcyła filozoficznego. Moja lektura tego filozofa, a także pozostałych fenomenologów, tym może różniła się od lektury innych ludzi, że mnie nie interesowało tak bardzo, **co** oni mają do powiedzenia, ile **jak** to robią, podpatrywanie tajników warsztatu, tak więc tajników ścisłej i zarazem unaoczniającej analizy fenomenologicznej. Byłem jak czeladnik podglądający mistrza, cały czas w związku z tym zadawałem sobie pytanie: Czy ja bym tak potrafił? Nie muszę mówić, że taki sposób podejścia miał kapitalny wpływ na moje późniejsze pisanie.

W późniejszym okresie Ingarden stracił jakby nieco na znaczeniu. Wydawał mi się za prosty, a choć nadal go podziwiam, za bardzo wszystko jest u niego „na widoku”. Ciężar zainteresowań i fascynacji przeniósł się wtedy na samego Husserla. O ile Ingardena mógłbym porównać do równomiernie oświetlonej powierzchni, to pisarstwo Husserla przypomina mi sieć zaułków z miejscami zacienionymi, z uskokami, wąskimi i niepewnymi uliczkami, gdzieś tylko rozświetlonymi plamami o większej jasności. Fascynujące jest to, że pisarstwo Husserla cechuje jakby immanentna sprzeczność. Z jednej strony to filozof, który głosił metodologiczny wymóg jasności i ścisłości rozważań, co się miało dokonywać mocą drobiazgowych, pedantycznych analiz kwestii szczegółowych. Z drugiej strony u Husserla jest mnóstwo ciemności i to własnowolnej, zamierzonej, jakieś zamazywanie wyrazistości, ucinanie wątków, nagle zwroty. Nie ma jasności, ale jest gra z jasnością, rodzaj zabawy w kotka i myszkę, taka dialektyka mroku i światła.

M.P.: *Wokół czego skupiały się Pańskie badania? Skąd zainteresowanie akurat w takim kierunku?*

A.Z.: Jak powiedziałem, odpowiadając na poprzednie pytanie, nie tyle interesowało mnie „co”, lecz „jak”, nie miałem jakiegoś ściśle określonego przedmiotu czy tematu, lecz chciałem po prostu spróbować swoich sił w metodzie analizy fenomenologicznej. Dlaczego akurat ta metoda? Najbardziej zwięzła odpowiedź brzmi: ponieważ wydawało mi się, że oferuje konkret. Imponowało mi, że o tematach tak mgławicowych, jak – przywołując estetyczne lub literaturoznawcze rozważania Ingardena – wartość, piękno, idea dzieła można się wypowiadać konkretnie, systematyzując i wyróżniając rozmaite niuanse znaczeniowe, bez tej nieznośnej manieri impresyjno-poetyckiej, w jakiej przeważnie formułowane były takie wypowiedzi. Ceniłem sobie wtedy konkretność, wypowiedź filozoficzna miała być jak ostrze lancetu subtelnie rozcinające i wyodrębniające drobne włókna. Dopiero z czasem nauczyłem się cenić w filozofii, kto wie czy nie bardziej, także nieokreśloność, zamazywanie konturów, rodzaj przesłaniającej mgielki. Nauczyłem się je cenić między innymi pod wpływem Husserla, co wcale nie znaczy, że on chciał intencjonalnie takie jakości osiągać. Ale ta moja konwersja z określoności na nieokreśloność to już zupełnie inny etap, późniejszy.

M.P.: *Jaka jest Pana ulubiona książka filozoficzna? A co Pan szczególnie ceni spośród własnego dorobku?*

A.Z.: Pamiętam, jak ogromne wrażenie swoją rzeczowością i drobiazgowością zrobiły na mnie swego czasu *Wykłady z fenomenologii wewnętrznej świadomości czasu* Husserla. A z własnego dorobku: niedawno, bardziej z ciekawości niż z potrzeby, zacząłem ponownie czytać swoją habilitację, *Nową fenomenologię sensu*, wydaną w roku 1994. Byłem po prostu ciekaw, jak ją teraz przyjmę. Siadałem do ponownej lektury z duszą na ramieniu, bojąc się reakcji odrzucającej typu: Boże, jak ja mogłem kiedyś coś tak okropnego napisać! Jednak, choć coś mi przerwało po pierwszych stu stronach, muszę z niejaką satysfakcją powiedzieć, że ten przeczytany kawałek jakoś tam się obronił jeśli idzie o cele, które wtedy stawiałem całej książce. Z innych wspomnień i z innego nurtu pisarstwa: na przełomie tego i poprzedniego milenium „popeniłem” większy materiał o jednym z największych mistrzów kina w historii, o Francuzie Robercie Bressonie. Napisałem i schowałem do szuflady na ponad 10 lat. Potem sobie przypomniałem i, mimo upływu czasu, wydało mi się to nadal na tyle interesujące, że skierowałem do publikacji. To chyba niezłe

kryterium jakościowe: móc z ulgą stwierdzić, że lektura własnych tekstów po latach przynosi coś w rodzaju przyjemności.

M.P.: *Jest Pan także filologiem polskim oraz filmoznawcą. Czy te dziedziny jakoś się u Pana przenikały, a może konkurowały? Dlaczego akurat taki zestaw?*

A.Z.: Tak się złożyło, że zwieńczeniem pierwszych studiów była u mnie specjalizacja filmoznawcza, i tak się też złożyło, że po niej zacząłem studiować filozofię. To były przypadki, nic nie wynika z tej konfrontacji obu dziedzin, żaden celowy zamysł. Gdybym już musiał te dyscypliny w swoim piśmiennictwie porównywać, to może teksty filmoznawcze bliższe są współczesnym standardom „naukowości” (przypisy, podawanie literatury źródłowej, itp.). Tytułem dygresji: irytuje mnie, że tym, ogólnie mówiąc, przypisom przysługuje dziś rola obiektywnej miary naukowości tekstów – bez przypisów tekst jest nienaukowy. Doszło do tego, że kiedyś wysłałem artykuł do druku i otrzymałem odpowiedź kogoś, kto najwyraźniej potraktował to jako surowy materiał, że owszem, rzecz do druku się kwalifikuje, tylko żebym jeszcze uzupełnił ją o przypisy. Musiałem dopiero odpowiedzieć, że te nieszczęsne przypisy to nie jest niezbywalne znamię naukowości, tylko konwencja kulturowa wynikająca prawdopodobnie ze schedy po pozytywizmie. Inaczej wszystkie klasyczne traktaty filozoficzne trzeba by uznać za nienaukowe. Nonsens!

M.P.: *Jak Pan ocenia obecną kondycję polskiej filozofii? Jakie widzi Pan jej mocne strony, a jakie słabe? Jakie wskazałby Pan dalsze kierunki jej rozwoju?*

A.Z.: Odpowiem, przywołując pewną historię. Wiele lat temu miałem pomysł zorganizowania cyklu spotkań poświęconych prezentacji tzw. filozofii autorskiej, tj. filozofii nie polegającej na streszczaniu cudzych poglądów, lecz na filozofowaniu na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Właśnie taką filozofię nazwałem „autorską”. Klucz doboru uczestników spotkań polegał na tym, że siadałem, otwierałem w komputerze witryny internetowe księgarni oferujących szczególnie bogatą literaturę filozoficzną i, przeglądając autorów od A do Z, wylawiałem na podstawie zamieszczonych opisów te prace, które, jak mi się zdawało, spełniały wzmiankowane wyżej kryterium „autorskości”. Po czym zapraszałem autorów takich książek, spotykając się zresztą najczęściej z ich życzliwą reakcją. Były też inne kryteria: ktoś dostał się z rekomendacji, ktoś inny „po uważaniu”, ale zwykle było to tak, jak mówię. Skończyło się na tym, że kiedy przy trzecim podejściu otworzyłem Internet, nie mogłem skompletować ekipy kilkunastu osób na spotkanie, a nie miało sensu organizować zjazdu złożonego z powtórki tych samych nazwisk. Wszystkie „zajawki” książek, przez które przebrnąłem, stwarzały tak niezachęcające wrażenie. I inicjatywa umarła, rzecz można, śmiercią naturalną.

Wniosek? Nie ma w Polsce filozofii, są tylko sprawozdania filozoficzne, referaty z koncepcji innych osób, w czym mieści się również historia filozofii. Niektóre sprawozdania świetne, inne takie sobie, ale jednak sprawozdania. Poza wszystkimi pozostałymi przyczynami, należy tu wymienić dewastujący umysły wpływ dziesięcioleci komunizmu, który odbierał samodzielność myślenia i onieśmielał do zabrania własnego głosu. Rezultat jest taki, że filozofia jako działalność autorska nie istnieje. Z tego też powodu jestem przeciwnikiem wszelkich ogólnopolskich zjazdów filozoficznych w dotychczasowej formule – bo niby do czego miałyby one prowadzić? Któryś z moich znajomych zażartował sobie okrutnie, że takie zjazdy przypominają mu zjazd impotentów deliberujących nad przezwycięzeniem kryzysu demograficznego.

M.P.: *Jaka przyszłość, Pana zdaniem, czeka filozofię?*

A.Z.: To pytanie ma przynajmniej dwa znaczenia odpowiadające mniej więcej zakresowo podziałowi na przyszłość bliższą i dalszą. Po pierwsze, możemy pytać o to, na co wskazują obecne trendy rozwojowe. A obecnie *ad nauseam* międli się jeszcze i miętosi frazy o śmierci podmiotu, śmierci człowieka, metafizyce obecności, końcu wielkich narracji, różnicy, wielości prawd lub epoce postprawdy, rzeczywistości i faktach jako jedynie interpretacjach, itp. Frazy te, mimo że już będące na wyczerpaniu, mają w sobie jeszcze pewien potencjał żywotności, na tyle, że przez jakiś czas będą intelektualnie tarמושzone. Próbuje się też filozofię kojarzyć z naukami szczegółowymi: biologią, neurologią, informatyką, lingwistyką i czym tam jeszcze, by z tego wygotować nową naukę, naukę o poznaniu zwaną kognitywistyką. To jest w tej chwili żywotny nurt, który na pewno będzie się rozwijał. Mam jednak wrażenie, że nie tyle oferuje on nowości, co uszczegółowienia tradycyjnych tez epistemologicznych.

Można jednak pytanie o przyszłość rozumieć także jako pytanie o elementy nowe, nieobecne w dzisiejszych modelach filozofii. Wtedy jest to pytanie zawierające w sobie wewnętrzną sprzeczność, bo to tak, jakbyśmy pytali, czego nieoczekiwanego możemy jednak oczekiwać. Odpowiem więc tylko swoim prywatnym wyznaniem wiary: wierzę, że, wbrew wszelkim przewidywaniom i kalkulacjom, wyłoni się ktoś, niekoniecznie pojedyncza osoba, ale grupa ludzi, coś w rodzaju szkoły, która odrodzi ducha ogólnospokulatywnego filozofowania i wyznaczy z jego pomocą nowe ścieżki, dokonując zarazem odkrycia nowego paradygmatu filozofii, wskazując nową perspektywę. Wszystko to zada kłam przekonaniom o jałowości i wyczerpywaniu się tradycyjnego modelu filozofii, które utrzymują się tak długo, jak długo nie objawi się ktoś, kto pokaże, że jednak można. Nic więcej nie da się o tym powiedzieć, bo przecież wielkie odkrycia w filozofii, podobnie jak w każdej innej dyscyplinie, są nieprzewidywalne.

M.P.: *Czy w dzisiejszych czasach warto się jeszcze zajmować filozofią? Jeśli tak, to jaką?*

A.Z.: A czy warto w dzisiejszych czasach oddychać albo chodzić? To jest tego samego rzędu pytanie. Mam wrażenie, że filozofia to nie jest coś, do czego należałoby ludzi motywować od zera. Po prostu, część ludzi nosi już w sobie tę potrzebę zajmowania się filozofią – potrzebę zastanawiania się nad sensem świata i swojego własnego życia. Tę potrzebę należy tylko rozbudzić, rozwinąć, sprofilować poprzez umiejętne oddziaływanie, między innymi na poziomie akademickim. Część tych ludzi zacznie te swoje przemyślenia uzewnętrzniać przez pisanie, i ci są szczególnie cenni, trzeba do nich podchodzić ze szczególną starannością. Przede wszystkim, należy zafundować im warsztaty samodzielnego myślenia filozoficznego, a że wielkie jest wtedy ryzyko grafomanii czy dyktantyzmu, należy ich wcześniej odpowiednio „przechołgać”. Nie znam, oprócz standardowego kursu historii filozofii, lepszych metod treningu umysłowego niż fenomenologia i filozofia analityczna. Po zaliczeniu wówczas przez nich takiego kursu, po wyciśnięciu z nich siódmych potów, niechaj już robią, co chcą.

M.P.: *Jak Pan rozumie rolę współczesnego filozofa w dzisiejszym świecie?*

A.Z.: Dla mnie nie wolno się ograniczać tylko do rozpoznawania filozofa na poziomie instytucjonalnym, przez to, że ma on odpowiedni tytuł, piastuje odpowiednie stanowisko, z którego wynikają określone zajęcia i stosowna organizacja pracy. Zwyczajnie, powinno

być widać, i to widać „gołym okiem”, że dany człowiek jest filozofem, że patrzy na sprawy głębiej i szerzej, że można się do niego zwrócić o radę w najważniejszych życiowych kwestiach, a przede wszystkim – że patrzy on na sprawy jakby z drugiej strony bytu, z dystansu. To się powinno czuć w człowieku, ta mądrość i postawa filozoficzna powinny z niego emanować. Nie da się ukryć, że bliskie mi jest w tym względzie podejście mądrościowe.

M.P.: *Jak Pan postrzega rolę uczelni wyższych we współczesnej kulturze i społeczeństwie?*

A.Z.: Tu jestem ultratradycjonalistą. Szczerze mówiąc, czasy współczesne, także z racji tego, co się wyprawia dziś ze szkolnictwem wyższym, są mi obmierzłe, odstręczające. Odrzucam je. Mam proste zasady: wyższa uczelnia, zwłaszcza ta, która ma w swej strukturze składnik „humanistyczna”, to wspólnota ludzi stojących w prawdzie, swobodnie wymieniających poglądy, dążących do tej prawdy w, jak to się mówi, nieskończonym postępie rozumu. Żadnego uzawodowiania, żadnych koncesji na rzecz gospodarki, rozliczania uczelni z korzyści wnoszonych w ogólny rozwój gospodarczy, przekształcania uniwersytetu w przedsiębiorstwo. I naturalne kierunki studiowania, wyodrębniane na podstawie podziałów naturalnych. Co to w ogóle są za kierunki: ogrodnictwo, hotelarstwo, geografia turystyki? Przecież to jest materiał najwyżej na kilkumiesięczne szkolenia zawodowe kończące się świadectwem odbycia kursu, a nie na studia wyższe zwieńczone dyplomem uniwersyteckim. Za sprawą tego rodzaju kierunków robi się z ludzi osobników, mówiąc najłagodniej, niezbyt intelektualnie sprawnych, niemających żadnego rozeznania w zakresie kultury ogólnej, humanistyki, za to doskonale zorientowanych np. w rodzajach obuwia czy przyprawach kuchennych. A ponieważ bliskie są mi teorie spiskowe, nie wykluczam, że to powszechne odmóżdzenie jest celowo robione, zaprojektowane na szczytach władzy politycznej, pomyślane tak, żeby w ostatecznym rozrachunku obywatel był posłuszny i się nie „stawiał”. Duch jest najważniejszy, od ducha zależy wszystko, więc im mniej jest ducha w psychice głupca, tym lepiej dla władców ciemności, dla tych, którzy bezboleśnie pragnęliby ludźmi manipulować i sterować.

I jeszcze ten idiotyzm w postaci KRK (Krajowe Ramy Kwalifikacji – przyp. red.), zmuszanie ludzi do bredzenia, do produkowania fikcji biurokratycznej przez wypełnianie rubryk w formularzach tzw. efektów kształcenia lub do tworzenia opasłych, wziętych z kosmosu tzw. kart przedmiotu zamiast tradycyjnych sylabusów.

M.P.: *Czy ma Pan jakieś niespełnione marzenie filozoficzne?*

A.Z.: Tak, z tym że jest to marzenie z gatunku raczej trudno ziszczalnych. Chciałbym przeczytać dzieło filozoficzne, które mnie przeniknie do trzewi, wstrząśnie mną, zatarga wnętrznościami, porazi blaskiem odkrywczości, rzuci na kolana, przytłoczy ciężarem geniuszu autora i wyrwie z piersi okrzyk: „Boże, przecież to rewelacja!” Które wskaże nowe perspektywy rozwoju filozofii, a zarazem okaże się jakoś bliskie i znajome, na tyle, że będzie się chciało zapytać ze zdumieniem: „Jak to możliwe, że nikt na to dotąd nie wpadł?” Bo na razie jestem jak Goetheański Faust lamentujący w swojej izdebce: „Te moje uniwersytety! / Nad filozofią i nad prawem, / nad medycyną i, niestety! / Nad teologią w pocie krwawym / Ileż to ja się naślęczałem, / Nieszczęsny głupiec! z zyskiem jakże małym!”

M.P.: *Czego można życzyć Panu Profesorowi na najbliższe lata?*

A.Z.: Jeśli chodzi o filozofię, to mam wrażenie, że powiedziałem mniej więcej wszystko, co chciałem, zostały może tylko jakieś drobiazgi. Moje życzenia dotyczą spraw bardzo osobistych, dlatego wołałbym je w tym momencie zachować dla siebie.

M.P.: *Bardzo dziękuję za rozmowę.*